Unione di Messe

a beneficio delle Missioni africane

istituita dal Sodalizio di S. Pietro Claver
e canonicamente eretta

da S. Em. il Cardinale Respighi

Vicario gen. di Sua Santità

Sunto del Regolamento

L'Unione di Messe a beneficio delle Missioni africane consiste in 300 Messe, che saranno celebrate ogni anno nella cappella di S. Pietro Claver della Casa generalizia del Sodalizio di S. Pietro Claver, presentemente nella via dell'Olmata, 16, in Roma.

Gli associati all'Unione verseranno una volta soltanto una elemosina di 1 Lira.

Le 300 Messe saranno dette secondo la propria intenzione degli associati all'Unione, sia per i vivi o sia per i defunti.

In questa Unione possono anche essere iscritti fanciulli e defunti.

Pius PP. X

fu iscritto in questa Unione

li 14 aprile 1909

il Pius PP. X

Edita dal Sodalizio di S. Pietro Claver, Roma.

NASZ ZWIĄZEK MSZALNY DLA AFRYKI.

Z powyższej illustracyi (odwrotna strona włoskiego obrazka przyjęcia) dowiedzą się Szan. Czytelnicy, jak wielki zaszczyt spotkał nasz Związek mszalny: Ojciec św. Pius X. wpisał się własnoręcznie na Członka Związku, składając 500 lirów tytułem wkładki uczestnika. Nie dozwolił sobie odjąć tej zasługi!

Jego Świątobliwość udzielił także wszystkim tym, którzy się wpiszą na członków Związku i „wezmą tym sposobem udział w świętem dziele Apostolstwa“ błogosławieństwa apostolskiego w następujących słowach:

A tutti i diletti figli, che si ascriveranno a questa Pia unione, partecipando così al santo apostolato, impartiamo di cuore l'Apostolica Benedizione.
Dì 14 Aprile 1909.
Pius PP. X

„Wszystkim ukochanym synom, którzy się wpiszą do tego pobożnego Związku i wezmą tym sposobem udział w świętem dziele apostolstwa, udzielamy z serca błogosławieństwa apostolskiego.“

Czyż nie zechcą teraz wszyscy Czytelnicy przystąpić do Związku, starając się zarazem o jego możliwie największe rozszerzenie? Już wielu tak postąpiło i ze wszystkich stron otrzymujemy uszczęśliwiające nas życzenia i powinszowania z powodu tego nowego dzieła na rzecz misyj afrykańskich. Między innymi zgłosili się: X. Arcybiskup Trani, Msgr. Gilbert, biskup tytularny Arsinoe, X. Biskup Schoebel z Litomierzyc i inni. — *Deo gratias!*



CHRZEST I ŚMIERĆ.

Dzieje naczelnego wodza Chinamora w Chishawasha (Rhodezya).

przez O. Hesse, T. J.

Chociaż obcym wam będzie autor niniejszego artykułu, to jednak dobrze znaną stacya misyjna, z której go wysyłam, i dlatego mam nadzieję, że nie odłożycie obojętnie na bok tych oto słów kilka. Opisują one chrzest, śmierć i pogrzeb wodza naczelnego, Chinamory.

Dzień oktawy święta Trzech Króli był dla starego Chinamory, naczelnego wodza licznego szczepu Washawasha, dniem dostąpienia podwójnej łaski. Rano bowiem dnia tego, odrodzony wodą Chrztu św. do życia chrześcijańskiego, powołanym został już wieczorem do swoich świętych patronów Kaspra, Melchiora i Baltazara, których imiona otrzymał był na Chrzcie św., z życia doczesnego do wiecznego.

Chinamora był potężnej, okazałej postawy, i zdawał się być stworzony na naczelnego dowódcę narodu, który dawniejszymi laty walczył wiele z wojowniczym ludem Matabelów i wiele od niego ucierpiał.

Gdy w r. 1896 Matabelowie powstali ponownie przeciw białym, Chinamora, zmuszony do tego przez czarownicę Neandę i najwyższego czarownika Kakubi'ego, przyłączył się z swymi ludźmi do powstania. Był on jednak pierwszym, który po pokonaniu czarnych prosił misyonarzy z Chishawasha o pośrednictwo u rządu, a następnie wraz z odłamem swego szczepu, osiedlił się na stałe pod bokiem misyi. Na trzy postawione mu przez misyonarzy warunki, mianowicie: posyłania dzieci do szkoły misyjnej, brania udziału z dorosłymi w niedzielnych naukach katechizmowych, i dostarczania w razie potrzeby robotników płatnych — przystał Chinamora najchętniej. Krokiem tym oburzył wprawdzie mocno na siebie przeciwne, poza obrębem misyi pozostające stronnictwo, ale się wcale o to nie troszczył, co więcej zerwał stosunki z innymi wodzami szczepu Washawasha, i stale odmawiał im przyjęcia.

Rozwojowi naszego dzieła misyjnego nie stawał nigdy Chinamora na przeszkodzie. Dzieci jego były pierwszemi, które wysłał do naszej szkoły i na naukę prawd wiary chrześcijańskiej. To jego przychylne usposobienie dla Wiary św. pozwalało nam się spodziewać, że i on sam wraz z swymi ludźmi przyjmie rychło chrześcijaństwo. A jednak nie! Wielożeństwo i towarzysząca mu okoliczność, iż poganin za każdą żonę płaci przynajmniej cztery woły, stanowiła dla Chinamory nieprzezwyciężoną zaporę, dzielącą go od chrześcijaństwa. Przeszło 12 lat uczęszczali regularnie, tak mężczyźni jak i kobiety na nauki wiary św., zapoznali się więc dostatecznie z jej prawdami, a jednak — ani jedno nawrócenie nie nastąpiło pomiędzy dorosłymi! Na pozór tedy praca nasza była zupełnie bezowocną, ale przez przeciąg tych lat dwunastu, ani jeden z pogan nie chciał umierać bez Chrztu św. Zatem wygraliśmy i tak bardzo wiele! Gdyśmy się do Chinamory zwracali ze słowami: „Zważ Chinamoro, że starzy czekają tylko twego skinienia, bądź im dobrym przykładem i stań się chrześcijaninem“ — wtedy odpowiadał niezmiennie: „Oddaliśmy wam wszystkie nasze dzieci, czegóż więcej żądacie od nas starych? Nie nauczymy się już niczego nowego, my mamy wodę w głowie. Gdy nadejdzie dla mnie godzina śmierci, zawezwę was, przyjdźcie wtedy i ochrzcijcie mnie, ażebym mógł wnijść do nieba.“

Nie pozostawało nam wtedy nic innego jak modląc się, czekać cierpliwie. Nasze dzieci szkolne i chrześcijanie, których na kazaniach i naukach nie przestawaliśmy napominać, aby się modlili o nawrócenie swych rodziców — i ich to modlitwom zawdzięczamy zapewne, iż nikt dotychczas ze starszego pokolenia nie umarł bez Chrztu św. — modliły się specyalnie za Chinamorę. — Przed mniej więcej ośmiu miesiącami, Chinamora, w pełni sił do tej pory będący, siedmdziesięcioletni starzec, wychudł raptem do tego stopnia, że pozostały tylko skóra i kości.

W pierwszych czasach choroby, umieszczono chorego wodza w chacie stojącej w szczerem polu, ażeby go ustrzedz od trudu przyjmowania zbyt licznych i częstych odwiedzin, lecz z nastaniem pory deszczowej w październiku r. 1907, przeniesiono go z powrotem do jego kraalu. Leżał tedy noc i dzień w swojej chacie.

Nie jest to dla nas, Europejczyków wcale łatwą sztuką dotrzeć do wnętrza murzyńskiej chaty. Wejście po największej części tak jest nizkie i wązkie, że trzeba się formalnie wciskać w nie przemocą, nie będąc nawet zbyt korpuletnym. Dostawszy się wkońcu szczęśliwie na czworakach do środka, sztuką jest dalszą dotrzeć do chorego. Na lewo od wejścia znajduje się przegródka dla kóz, nad nią nagromadzone jest drzewo opałowe, na którem siedzą w nocy kury. W pośrodku chaty tli się dniem i nocą, nieodzowne ognisko. Trzy długie pnie drzewne, ułożone w trójkąt tlą w pośrodku izby, napełniając ją gryzącym, gęstym czadem. Pomiędzy wejściem a ogniskiem leżą dwa lub trzy przynajmniej psy, rasy kafryjskiej, przerażającej chudości stworzenia, którym w hygienie chorych przypada w udziale rola nie kwalifikująca się do bliższego określenia. Na prawo od ogniska leży na ziemi chory, a dookoła niego, stłoczonych w gromadę stoi i siedzi tylu mężczyzn i kobiet, ile ich tylko chata pomieścić zdoła. Łatwo pojąć, jakie wobec tych warunków chory, pominąwszy jego własne cierpienia, męki ponosić musi. Im koniec chorego bliższy, tem bardziej tłoczą się odwiedzający dokoła niego. Toteż gdy W. O. Bert, Przełożony nasz, 18-go stycznia r. 1908, około 2-ej godziny nad ranem udzielał Chinamorze Chrztu św. zastał chatę do tego stopnia natłoczoną ludźmi, iż sam stać już musiał literalnie w ognisku, aby polać wodą głowę Chinamory.

Przed Chrztem św. prosił Chinamora Przełożonego o trzy rzeczy: przedewszystkiem, ażeby O. Bert zaopiekował się wszystkiemi jego dziećmi, ucząc ich zgodnego ze sobą pożycia, następnie, ażeby darował mu na całun grobowy kawałek czarnego „limba“ (perkalu), a wreszcie, aby zwłoki jego pochowane zostały na szczycie górskim. Do tego ostatniego warunku przykładają poganie największą wagę. Nie chcą bowiem spoczywać w wilgotnej ziemi, tylko w naturalnym skalnym grobowcu. Jakże często słyszałem następujące słowa: „Jeżeli pochowasz mnie pod skałą, natenczas dam się ochrzcić“. Rozumie się, iż nie robimy tutaj żadnych trudności, i chowamy członków starszego pokolenia tam, gdzie leżeć pragną, lecz chrześcijan naszych chowamy naturalnie już na naszym obszernym cmentarzu. Nie mogę jednak pominąć milczeniem, iż matka jednego z naszych chrześcijan rzekła przed śmiercią: „Chcę spocząć na waszym cmentarzu obok dzieci moich, w święconej ziemi“. Miejmy nadzieję, iż ten przykład znajdzie naśladowców w przyszłości.

Gdy O. Superior przystał na wszystkie jego prośby, rzekł Chinamora: „A więc mogę teraz umrzeć spokojnie.“

Wieczorem tegoż dnia około godziny ósmej z kraalu Chinamory położonego o pół godziny drogi od naszego domostwa, doszły aż do nas gwałtowne krzyki i skargi. Wiedzieliśmy natychmiast, iż Chinamora nie żyje. Wyraźnie dochodziło naszych uszu piskliwe zawodzenie kobiet z towarzyszącym mu charakterystycznym odgłosem spowodowanym bardzo szybkim ruchem rąk zatykających naprzemian usta. Mężczyźni śpiewali pieśni wojenne przy akompaniamencie bębnów i tak silnego uderzania piętami o grunt, iż głuche dudnienie rozlegało się daleko wokoło. Według starego obyczaju obowiązani byli tańczyć poddani przy zwłokach wodza noc całą, co byliby uskutecznili z pewnością, gdyby nie rozkaz O. Superiora uciszenia się już o wpół do 10, z pozwoleniem rozpoczęcia na nowo hałaśliwych obrządków wraz ze wschodem słońca.

Gdym nazajutrz rano 14 stycznia przybył do kraalu, rozpoczęto już wprawdzie taniec, lecz niewielu mężczyzn brało w nim udział. Większość zbita w gromadki porozsiadała się na odłamach kamiennych lub na ziemi, głębokiem milczeniem manifestując żałobę i żal, który wyrażali przedemną w następujący sposób: „Baba wedu wafa“, — ojciec nasz nie żyje — „wasia vana wake“ — opuścił nas, swoje dzieci — „taona namo kwazwo“, — dotknęło nas wielkie nieszczęście, dlatego jesteśmy smutni. — Zgoła inaczej zachowywały się kobiety. I one zeszły się tłumnie z wszystkich chat stacyi misyjnej i rozsiadły się dookoła chaty zmarłego wodza ze swemi niemowlętami przytroczonemi do pleców zapomocą małpich lub kozich skór, śmiejąc się i gwarząc aż do chwili, w której przyszła na nie kolej odegrania żałobnej roli w wnętrzu chaty u zwłok zmarłego. Wstępna ceremonia żałobna polega na tem, iż klękają kolejno przed członkami rodziny zmarłego, wyciągają do nich ręce nie mówiąc przy tem ani słowa, a następnie klaszczą w dłonie kilkanaście razy. Gdyby się tem zadowolnić chciały, wszystko byłoby jeszcze dobrze, lecz według nich za skąpo wypadłyby oznaki żałoby. Nie wydzierają sobie wprawdzie włosów z głowy, jak to czynią inne szczepy w nieszczęściach i żałobie, bo albo nie miewają wcale włosów, lub całkiem krótkie przypominające łudząco starą zużytą szczotkę. Można być jednak za to świadkiem innych, najdziwniejszych objawów. Niektóre z nich tarzają się po ziemi tak, jak małe dzieci na trawnikach. Inne wykrzywiają najokropniej twarz, oczy wychodzą im z orbit, załamują rozpacznie ręce i z okrzykiem: „Yowe, yowe!“ padają na ziemię i wspierając się na rękach i kolanach chwieją na wszystkie strony tułowiem nie przestając wołać „Yowe, yowe“, tak, że maleństwo ulokowane na plecach matki oszołomione i przerażone wygląda z poza swej małpiej skóry i w końcu

przyłącza swój żałosny głosik do ogólnego chóru. Łzy płyną obficie, lecz widzi się natychmiast, iż nie płyną z serca.

Niepodobieństwem było dostać się do wnętrza chaty Chinamory, zresztą i tam będąc zwłok zazwyczaj nie widzi się wcale. Natychmiast bowiem po czyimś zgonie naciera się ciało oliwą, następnie wyprostowuje wzdłuż niego ręce. podciągając jak najwyżej kolana, i owija zwłoki od stóp do głów płachtami i czarnem „limbo“ (farbowany perkal) i krępuje silnie sznurami z łyka i kory drzewnej.

Z reguły u Mashon'ów zwłoki bywają chowane w przeciągu dwunastu godzin. Jeśli ktoś umrze rano, pogrzeb odbywa się wieczorem, jeśli zaś wieczorem, to nazajutrz przed południem. Lecz, że w tym wypadku chodziło o pogrzeb zwierzchnika, a urzędnik z Ajoromonsi przyrzekł współudział, odroczono pogrzeb do środy 15-go stycznia. Uczyniliśmy wszystko co było w naszej mocy, aby nadać pogrzebowi cechę uroczystą. U wysokiego słupa, stojącego na placu zwieszała się do połowy rozwinięta flaga angielska, a z obu wież kościelnych powiewały dwie żałobne chorągwie. Punktualnie o 10-tej oznajmiły dzwony, iż pochód pogrzebowy Chinamory opuścił wieś, dając zarazem chrześcijanom naszym hasło do szeregowania się. W przedłużeniu wrót kościelnych na placu, utworzyli mężczyźni i chłopcy-robotnicy szpaler. Przybysze ugrupowani byli według wsi, z których pochodzą. Na czele każdego z sześciu oddziałów stał jego wódz w „Kakhi“ uniformie, z przewieszoną na plecach strzelbą „Martini“. Był to na ogół okazały orszak, liczący w każdym z obu szeregów zapewne około 120 ludzi.

(Dokończenie nastąpi).

Pójdźmy do Maryi!

Czcigodny Justyn de Jacobi, pisał w liście z dnia 11 sierpnia 1846 do swego przyjaciela w Neapolu:

„Zanim przejdę do dalszego tematu, za obowiązek poczytuję sobie zeznać wam to, o czem przekonało mnie niezbicie długoletnie doświadczenie, a mianowicie, że *ilekroć w dziele misyjnem zaznacza się nagły a nieoczekiwany pomyślny zwrot, to zawdzięcza go Kościół wstawiennictwu tej Dziewicy Najczystszej*, której władza tak jest wielką na ziemi i w niebie i która tak gorąco pragnie rozszerzenia królestwa Boskiego Swego Syna.“

DWA BUDUJĄCE FAKTA.

Przez O. Borrel'a misyonarza z Zambezi, przebywającego obecnie w Hiszpanii, gdzie kończy studya teologiczne.

Gdym bawił w misyi Św. Aniołów w Coalana, odbywaliśmy co wieczoru z O. Arraino małe wycieczki do bliżej położonych chat murzyńskich. Pewnego dnia zaprowadziła nas Opatrzność do chaty, w której zastaliśmy biedną, siwą staruszkę.

Staruszka siedziała bezczynnie, co zresztą jest głównem zajęciem naszych murzynów, miała grzbiet silnie zgarbiony i wyglądała jak gdyby głowę opierała na kolanach. Zbliżyliśmy się do niej i zaczęli rozmowę o jej wnukach i prawnukach, których w tym czasie miała już poczciwa staruszka sześcioro. Następnie spróbowaliśmy przemówić do niej o Bogu i zbawieniu, lecz zmarszczyła brwi i wzruszyła obojętnie ramionami, a gdy nie zmieniliśmy tematu, wtedy obojętność starej kobiety przeszła w oburzenie. Wydało nam się roztropniej nie rozmawiać z nią na razie dłużej i smutni powróciliśmy do misyi w Coalana. Nie zniechęciła nas jednak ta pierwsza nieudana próba. Przeciwnie, powróciliśmy tam kilkakrotnie, pragnąc gorąco pozyskać duszę odkupioną Krwią P. naszego Jezusa Chrystusa. Biedna stara nie chciała nas już więcej widzieć i kryła się gdyśmy zachodzili do niej w wieczornych odwiedzinach.

Dobry O. Arraino powziął myśl oddania całej sprawy w ręce Matki Najśw. Poparłem myśl tę gorąco i powróciliśmy do staruszki, która przyjęła nas zrazu ze zwykłą jej dla nas uprzejmością, ale dozwoliła sobie włożyć medalik Matki Bożej, który jej ofiarowaliśmy, i obiecała nosić go na sobie, stosując się do naszych życzeń. Powróciliśmy tedy do misyi, uważając sprawę naszą tak dobrze jak za wygraną. Nazajutrz powróciliśmy do chaty naszej staruszki, która rozpogodzoną twarzą uśmiechała się do nas, podnosząc z trudnością w górę biedną swą głowę, ażeby lepiej nas widzieć. Oznajmiła nam również, iż pragnie zostać chrześcijanką, dzieckiem Boga, być ochrzczoną i pójść do nieba!

»Dobrze moja staruszko, odrzekłem jej na to, lecz musisz przedewszystkiem oświecić się w wierze katolickiej«. Nauczyła się więc prawd zawartych w katechizmie, poczem ochrzczoną została poczciwa nasza starowina z Coalane. Nosi ona dotąd na piersiach ów medalik Najśw. Maryi P. — To, czego starania nasze dopiąć nie mogły, uczyniła z łatwością Matka Miłosierdzia, posługując się Swoim świętym medalem.

Jeszcze inny drobny fakt, który świadczy o skutkach, jakie sprawia Komunia św. w duszach biednych, zaniedbanych murzynów. Miałem w mojej klasie małego chłopca, który odznaczał się wybitną pobożnością. Przystępował co tydzień do Stołu Pańskiego i służył do Mszy św. z rozrzewniającą uwagą.

Pewnego czwartku poszedłem z nim i z innymi wychowankami na przechadzkę do pięknej okolicy Guelimane. Szedłem przodem, a dzieci postępowały w małej odległości za mną. Wtem jedno z nich wypowiada zdanie niemoralne, które wywołuje u młodego chłopca następującą naganę: „Zamilcz, proszę cię, i nie powtarzaj więcej tych słów okropnych, jutro bowiem mam przystąpić do Komunii św.“. Trafiło to do przekonania winowajcy, który nie wyrzekł już ani jednego niewłaściwego słowa. Oto jak Komunia św. uszlachetnia dusze, u których delikatność uczuć zdawałaby się niedostępną z powodu środowiska, w jakiem przebywają.

Mógłbym więcej jeszcze przytoczyć faktów, które wykazałyby Wam jasno, jak wielka ofiarność chrześcijańska i czystość sumienia są owocami Św. Sakramentów przyjmowanych przez dusze, otoczone dokoła ciemnością i ujęte w atmosferę egoizmu wprost niepojętego dla tych, którzy mieli szczęście urodzić się w chrześcijańskiem środowisku.

Drobne wiadomości misyjne.

X. Biskup Derouet donosi z Loango 11 września 1908 r.: „Tutaj w samym Loango, sale katechizmowe rozszerzone o połowę, okazują się dzisiaj znowu absolutnie niewystarczające. Po wsiach kursa katechizmowe są również nader pilnie uczęszczane. Liczni zawsze chorzy na śpiączkę, coraz słabszy stawiają opór w przyjęciu Chrztu św. Niektórzy nawet z własnego popędu wzywają nas do siebie, pomimo drwin starych, wiernych zabobonom pogańskim. Jednem słowem, wykonywanie służby Bożej codziennie obfitsze i bardziej zachęcające wydaje owoce. Cała bieda tkwi w tem, że z braku funduszów nie możemy pomnażać stacyj apostolskich. Powinniśmy pomnażać również liczbę naszych katechistów, bo jest faktem niezaprzeczonym, że *katechista krajowiec* ze swemi licznemi wadami i pomimo wrodzonego lenistwa, jest niemniej wybornym głosicielem Ewangelii św. i niezbędnym pomocnikiem misyonarza! Otóż drogocenna ta siła kosztuje 200 do 250 franków rocznie. Czy nie zna Czcigodna Pani jakiej szczodrej duszy, któraby się podjęła tego ciężaru? 250 franków czyż to za wysoka opłata dla pomocnika apostolskiego?

Zapytajmy siebie samych o to, u stóp krzyża...“

W. O. Bertrand, Lazarysta i misyonarz z wikaryatu apostolskiego południowego Madagaskaru, zgłasza się po raz pierwszy do *Echa z Afryki* dnia 17 września 1908 roku: „Wikaryat ten założonym został w roku 1896, nazajutrz po podboju wyspy. W stacyi „Vohipeno“, którą założyłem w roku 1889. nie było z chwilą mojego przybycia ani jednego chrześcijanina. Zainstalowawszy się pod jedną ze słomianych strzech wioski, zebrałem rychło setkę chłopców i dziewcząt, i zacząłem ich uczyć. Powoli wzniosło się potrzebne budynki, tak, iż ubiegłego roku 120 chłopców i 80 dziewczynek uczyło się pod kierownictwem nauczycielki krajowej,

którą wykształciły Siostry Miłosierdzia w domu dla sierot w Fort-Dauphin.

Zdołałem osiedlić nauczycieli i nauczycielki szkolne w Wato i w Vohibolo, i dzięki Bogu wychodzą stamtąd dzielni chrześcijanie. Pomimo wszystko, są nasi Malgaszowie podatnym materyałem do nawracania, to też przy pomocy łaski Bożej przygotowuje się nam piękne żniwo dusz. Z wielu wsi przysłano do mnie z prośbą o nauczyciela, któryby „nauczył dzieci znać Boga...“ Nie mogłem jednak dotychczas zadość uczynić ich prośbom z powodu braku funduszów. Gdybyście zechcieli udzielić jakiejkolwiek jałmużny, któraby mi pozwoliła rozszerzyć zakres działania tej drogiej mi misyi malgaskiej, wielką bardzo oddalibyście jej usługę...“

Z Kasisi (północno-zachodnia Rhodezya). — W. O. Torrend, T. J., pisze do nas:

„Cóż poczniemy przez te długie trzy miesiące, które nas dzielą od pierwszych żniw, których się przed połową grudnia spodziewać nie można? Jeżeli możecie nam jeszcze użyczyć jałmużny — z łaski uczyńcie to! Mam nadzieję, iż jest to ostatnia, o którą was proszę, ponieważ kopiemy, siejemy, podlewamy, ile sił starczy! Mówię *kopiemy*, bo w istocie otaczający mnie dokoła widok klęski głodu, nakłonił mnie do pracy ręcznej. Zarzuciłem dla niej prace moje literackie, gramatykę „tonga“ i t. d. *Primum vivere, deinde philosophare.*

Dzięki temu kopaniu, sianiu, podlewaniu, teraz kiedy ustały mrozy, kukurydza kiełkuje już pomału. Więc jeśli Pan Bóg pozwoli, w połowie grudnia będziemy mieli przynajmniej własną strawę. Przyciągnie nam ona ze wszystkich stron zgłodniałych, którzy gorzej od nas uposażeni, nie mają wody do podlewania swych ogrodów i dlatego nie mogą siać przed deszczami listopadowymi! Podzieliwszy się tedy z nimi po bratersku temi pierwocinami, doczekamy się nareszcie głównych żniw. Jakąż będzie wówczas dla mnie radością módz prosić was, abyście gdzieindziej zużytkowali zasiłki, których już mniej od innych potrzebować będziemy! Niestety, jeszcześmy daleko od tej chwili, są to marzenia głodomorów!

Jakkolwiek straszną jest klęska głodu, miewa jednak i ona swoje dobre skutki, sprowadza nam bowiem setki czarnych na nasze regularne kursa nauki religii. Mieszkańcy kilku wiosek, dotąd bardzo odległych, przysławszy do nas swych głodnych, powzięli zamiar przyjęcia katolicyzmu i są obecnie w trakcie przesiedlania się w pobliże nas.“

Drodzy Czytelnicy, dopomóżcie nam w wspieraniu tych biednych misyonarzy, którzy zmuszeni są zaciągać ciężkie długi w czasach głodu, długi, które wstrzymują rozwój ich misyj! Wiele już darów popłynęło dzięki waszej niezrównanej hojności do okolic pustoszonych przez głód. A jednak trzeba nam jeszcze więcej pomocy...

WYCIĄG Z DZIENNIKA

Generalnej Kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera.

Rzym. *7 kwietnia. Wielka środa.* — Wczoraj wieczorem przybyła pielgrzymka austryacka, składająca się przeważnie z członków Stowarzyszenia katolickich nauczycielek i wychowawczyń. Na prośbę przewodnika X. Dra Kautskego, otworzyłyśmy naszą salę konferencyjną dla wieczornych zebrań uczestniczek. Było pomiędzy niemi kilka naszych kochanych zelatorek.

12 kwietnia. Poniedziałek wielkanocny. — Piękna pogoda wiosenna, panująca od kilku dni, stara się w złączeniu z radością wielkanocną oczarować serca ludzkie, te, do których radość ma jeszcze wstęp.

Wczoraj, o godzinie 9 wieczorem, zaprosiłyśmy uczestniczki pielgrzymki na mały odczyt. Około 200 osób stawiło się na zaproszenie z X. Drem Kautskym na czele. W niknących obrazach świetlnych przedstawiłam Zgromadzonym stopniowy rozwój Sodalicyi św. Piotra Klawera (dom w Salzburgu, Maria Sorg ze swoimi budynkami i pracowniami, Maria Rat w Rzymie, gdzie się znajdujemy z kaplicą św. Piotra Klawera, pałac św. Kongregacyi Propagandy, prywatną kaplicę Leona XIII, w której udzielił zezwolenia na założenie Sodalicyi i t. d.) i portrety osobistości najbardziej przy tem czynnych: kardynała Lavigerie, kardynała Ledóchowskiego, kardynała Gotti, Leona XIII i nakoniec Piusa X, największego Dobrodzieja Sodalicyi, w kilku zdjęciach). — Odczyt kończy się ukazaniem obrazu Patronki całej Sodalicyi, a w szczególności Domu w Rzymie: *Matki Boskiej Dobrej Rady,* z życzeniem, aby kochane słuchaczki cieszyły się coraz większym darem rady, rozszerzającej serca apostolską miłością wszystkich ludzi, nie wyjmując murzynów afrykańskich. Po odczycie przystąpiło 26 słuchaczek na zelatorki, inne zaprenumerowały nasze pisma, lub zamówiły kalendarze.

Oby rzucone w Wiecznem Mieście nasienie, zeszło w rozmaitych miejscowościach monarchii austro-węgierskiej i Niemiec (niektóre nauczycielki z pruskiego Śląska przyłączyły się do wycieczki) i przyniosło obfite owoce!

13 kwietnia. Wtorek. — Rzym napełnia się obcymi w sposób niebywały. Dziś po południu przyniósł posłaniec z Watykanu upragnione zaproszenie na prywatną audyencyę do Jego Świątobliwości. Wobec niesłychanego napływu do Watykanu, trzeba tem więcej umieć ocenić tę łaskę.

14 kwietnia. Środa. — W dniu dzisiejszym każe Kościół święty czytać Ewangelię, która opowiada o stanowczem nadaniu prymatu przez Chrystusa Pana św. Piotrowi. Jakżeż piękne jest zrządzenie Opatrzności, które nas dziś właśnie wiedzie do stóp następcy św. Piotra! O godz. 9½ jedziemy z moją asystentką do Watykanu. Najpierw nawiedzamy grób Księcia Apostołów, aby polecić jego przyczynie zbliżającą się audyencyę. O godz. 10¼ wprowadzają nas na pokoje Jego Świątobliwości. W sali degli Arazzi oczekuje już kilka zakonnic. Jedna z nich zbliża się do mnie i pyta łamaną włoszczyzną, czy na prywatnej audyencyi należy trzy razy przyklękać. Powiadam jej, że choć ja sama przestrzegam tego, to jednak Ojciec św. nieraz nie da czasu na dopełnienie tego obyczaju.

— Jesteście zapewne Włoszkami?

— Nie, ja jestem Polką.

— Ach to zapewne będziemy mogły mówić po francusku?

I dobra Siostra pyta mi się jeszcze raz o to samo po francusku i wraca następnie do swoich Sióstr. Wkrótce potem wychodzi jakiś biskup od Jego Świątobliwości (biskup z Bostonu). Wołają nas potem do sali tronowej, następnie do małej sali tronowej, przylegającej do prywatnej biblioteki Piusa X. Słyszymy miły dźwięk jego głosu, a o 11¼ przychodzi kolej i na nas. Msgr. Sanz de Samper wchodzi z nami do sali i wskazuje na mnie. Ojciec św. siedzi przy swojem biurku i uśmiecha się: „La Ledóchowska“, a spoglądając na moją asystentkę, która nadaremnie usiłowała pocałować go w nogę, powiedział: „e la segretaria“. Mogłyśmy już usiąść obok biurka Jego Świątobliwości, który z ojcowską dobrocią spojrzał na mnie. Nie ma dziś na głowie swej zwykłej białej, jedwabnej czapeczki, która nie zasłaniała włosów na czole, ale większą, pluszową, czerwoną, która zmienia nieco wygląd oblicza. Wydaje się także starszym, tylko oko pozostało zawsze czyste, świeże i głębokie. Wezwana do przedłożenia moich interesów, których mam niemało, sodalicyjnych i innych (związek mszalny. odpust krzyżacki etc.), przedkładam je i otrzymuję przychylne zezwolenia, udzielane z bezprzykładną dobrocią i gotowością. Przedkładam także Ojcu św.

wykaz datków za r. 1908 razem z dwoma katechizmami w językach murzyńskich: Kichaga i Kisuahili. Ojciec św. przegląda wszystko z widocznem zainteresowaniem, szczególnie wykaz datków. Przy Białych Ojcach, OO. od Ducha św. i Oblatach Najśw. Panny Niepokalanej, czyta także wikaryaty.

— Tak się dopiero widzi, ile ich jest.

— Tak — odpowiadam — i dlatego potrzebują misye coraz większej pomocy, a ja muszę myśleć nad coraz nowemi jej źródłami. Wasza Świątobliwość mianuje ciągle nowych apostolskich wikaryuszy i prefektów. Cóż stanowi suma 214.000 lirów dla tak wielu, a muszę jeszcze za cud uważać, że tyle wpływa.

Ojciec św. uśmiechnął się i rzekł powoli, prawie uroczyście:

— Il Signore vuole che vadino operai nella Sua vigna e per ciò manda auche i soccorsi. („Pan chce, aby robotnicy szli do Jego winnicy i dlatego posyła także potrzebne środki").

Pod koniec audyencyi otwiera Ojciec św. jedną szufladkę swojego biurka, wyciąga z niej banknot pieniężny i podaje mi go.

— Ależ proszę Waszej Świątobliwości! — wołam przerażona. —

— Ma si, questo è per il Vostro Instituto. Devo auche partecipare ai vantaggi spirituali. („No, to jest dla waszego Instytutu. Ja muszę mieć także udział w korzyściach duchownych").

Mówiąc to, miał Ojciec św. nasz Związek mszalny na myśli, do którego się poprzednio zapisał.

Nadchodzi czas odejścia. Ojciec św. powstał i powiedział do mnie, że błogosławi nas, nasze rodziny, dzieła, współpracowników, dobroczyńców, słowem wszystkich, dla których prosiłyśmy o błogosławieństwo. Proszę jeszcze o osobne błogosławieństwo dla jednej chorej Sodaliski (Ojciec św. czyni osobny znak krzyża św.) i dla nowicyatu w Maria Sorg.

— Quante sono? („Ile ich jest?")

— Ośm, Ojcze święty.

Ojciec św. kiwnął głową z zadowoleniem.

— Coraggio! („Odwagi!") — zawołał do mnie, kiedy przyklękałam już przy drzwiach.

To było tym razem ostatnie jego słowo. Tak, „coraggio!" Taka audyencya ma rzeczywiście moc wzbudzenia odwagi, lub przynajmniej podwojenia jej i umocnienia. Chrystus Pan udziela Swej Boskiej pomocy w szczególniejszy sposób tym wszystkim, którzy jak mogą, tak się przyczyniają do rozszerzenia Jego Kościoła. Któżby nie miał odwagi? skoro Ten nas do niej pobudza, który Chrystusa Pana w widomej postaci zastępuje na ziemi, któżby nie nabrał *niewzruszonej* odwagi do ponoszenia wszystkich trudności i krzyżów, jakie apostolstwo nieodzownie ze sobą przynosi? I dlatego drodzy Czytelnicy i Przyjaciele misyj: „coraggio!" Hasło to jest zarówno ważne dla Was, jak i dla nas. Nie dajmy się niczemu odstraszyć i niczem powstrzymać w naszem świętem powołaniu służenia misyom, a tem samem Chrystusowi Panu.

16 kwietnia. — Rzym ustrojony wiosną. Róże zaczynają kwitnąć, a glicynie przerzucają, jakby czarodziejskim sposobem, swoje błękitne gałązki przez mury i sztachety, napełniając powietrze odurzającą wonią. Ulice ożywione, jak nigdy. Co godzina przychodzą osobne pociągi z pielgrzymkami, złożonemi przeważnie z Francuzów.

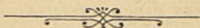
18 kwietnia. — Nadszedł wielki dzień beatyfikacyi Joanny d'Arc. Podczas kiedy tysiące ludzi ciśnie się w kościele św. Piotra, aby uczestniczyć w okazałych ceremoniach, zgromadzamy się tymczasem w naszej cichej kaplicy św. Piotra Klawera i łączymy się z pielgrzymami w modlitwie i czci dla nowej Błogosławionej.

21 kwietnia. — Odwiedziny Generała Ojców od Ducha Świętego, X. Biskupa le Roy, jednego z tych 71 francuskich biskupów, którzy się w tych dniach zebrali dokoła tronu Piusa X.

26 kwietnia. — W miejscu pamiętnem dowodem mocy Maryi nad sercami ludzkiemi, w kościele S. Andrea delle Fratte obchodzimy doroczne patronalne święto Sodalicyi: Matki Boskiej Dobrej Rady, kazaniem i błogosławieństwem. X. Dom. Wawrzyniec Janssens, O. S. B., sekretarz Kongregacyi Zakonników, podjął się kazania, mimo swej wielkiej i bardzo odpowiedzialnej pracy, rad, według dobrotliwego wyrażenia, że może nam dać nowy dowód niezmiennej dla nas życzliwości. Z porywającą wymową głosił zacność Rady Matki Bożej, która się odrazu w czyn zamienia. Współczesne nam beatyfikacye Joanny d'Arc i Joanny Eudes są dowodem otrzymanej i wypełnionej rady niebieskiej Doradczyni. I Sodalicya św. Piotra Klawera „to wspaniałe dzieło dla ratowania dusz" zaczęła istnieć skutkiem otrzymanej i w życie wprowadzonej rady z nieba. Do nas bowiem należy wprowadzanie w czyn rad Dobrej Matki: w nas samych przez pokorę i poddanie się Panu Bogu, a przez miłość i apostolskie uczucie względem bliźniego. Omawiając to apostolskie działanie we własnym kraju, dowodził, że branie udziału w rozszerzaniu Wiary św. na całym świecie, ale szczególnie w potrzebującej Afryce jest obowiązkiem *wszystkich* katolików. Wkońcu objaśnił mowca krótko, lecz dokładnie, znaczenie i działalność Sodalicyi i zachęcał gorąco do wzięcia w niej udziału i zaprenumerowania jej organu „Echa z Afryki", wychodzącego w ośmiu językach. Po kazaniu nastąpiło błogosławieństwo, udzielone przez naszego Protektora, J. Em. Kardynała Casettę. Pomimo pięknej pogody wiosennej był kościół dobrze napełniony, a między obecnymi znajdowało się wielu francuskich pielgrzymów, którzy poniosą do ojczyzny wiadomość o naszem dziele.

29 kwietnia. — Szesnasta rocznica założenia Sodalicyi, dzień, któryby nas powinien pobudzać do coraz goretszej i zupełniejszej podzięki. Bo czyż może być większa łaska na ziemi, jak być współpracownicami misyonarzy w ratowaniu dusz? Oby ci wszyscy, którym Pan Bóg w odwiecznem Swem rozrządzeniu udzielił tej łaski, zechcieli ją zrozumieć!

W starożytnej bazylice S. Clemente odbyła się dziś wspaniała, a rzadka uroczystość, gdyż odprawiono rusko-katolicką Mszę św. Naprzeciwko kaplicy apostołów słowiańskich św. Cyryla i Metodego celebrował kapłan Mszę św. w towarzystwie dyakona i subdyakona. W braku chóru śpiewali ci duchowni rytualne hymny staro-słowiańskie. Mszy św. towarzyszyły rozmaite ceremonie, w czasie których odchodził celebrans lub asystujący dyakon od ołtarza, wchodził do presbiteryum i kadził w stronę wiernych, co nadawało całej uroczystości charakter ofiary i uczty, i czyniło głębokie wrażenie. Rzadkość uroczystości sprowadziła wielu członków rosyjskiego ciała dyplomatycznego, którzy z budującem skupieniem towarzyszyli nabożeństwu. Jedna z pań przyjęła Komunię św. Udzielił jej kapłan w następujący sposób: w towarzystwie dyakona zszedł ze stopni ołtarza, niosąc kielich okryty welonem. Poniżej czekał nań subdyakon z ministrantem i komunikantka, która stojąc przyjęła Przenajświętszą Krew. podaną jej przez kapłana na łyżeczce. Po skończeniu św. Ofiary i ostatniej Ewangelii, kazał celebrans przystąpić wiernym do siebie, podawał im do ucałowania krzyż i kładł na otwartą rękę po kawałeczku poświęconego przedtem chleba, tak zw. *Antidoron.* W ten sposób zakończyła się ta wspaniała uroczystość, która, da Pan Bóg, będzie tylko początkiem ciągłej służby Bożej rusko-katolickiej w *alma mater* i przyczyni się do ukazania naszym braciom drogi.



Kronika Sodalicyi Św. Piotra Klawera.

Filia w Krakowie. *Dnia 2 czerwca.* Dzisiejsze zebranie zelatorek zakończyło szereg tegorocznych konferencyj W. Ojca Wnęka T. J. W przemówieniu swojem zaznaczył Czcigodny mówca, jakie spójnie jednoczą przyjaciół Sodalicyi. Jedność podniosłego celu, miłość Jezusa Chrystusa i zbieranie się co pewien czas dla wspólnej zachęty: to nas łączy. Wobec zbliżającej się pory letniej i rozprószenia przyjaciół naszych między różnymi ludźmi, przypomniał prelegent obowiązki zelatorek, które mają szczepić zrozumienie i miłość misyj. Oby słowa te nie pozostały bezowocne!

ODCINEK.

KATONDA ALITUBERA.

Opowieść, której szczegóły zebrane podczas wizyty pasterskiej Biskupa Streicher'a, wikaryusza apostolskiego południowej Nyanzy (Uganda, Afryka środkowa).

(Wolny przekład z francuskiego przez B. Dzieduszycką).

(Ciąg dalszy).

III.

Szczęśliwa katechumenka.

Nareszcie pewnego poranku zbudziła ją pani wcześniej, niż zazwyczaj, różne jej szczegółowsze dając zlecenia, gdyż sama miała się udać w odwiedziny do wsi sąsiadującej z Kumbą. I oto widzi dziewczynka jak pani jej przywdziewa najpiękniejszą jaką ma tkaninę, najwspanialsze *lubugo* (strój z kory drzewa wyrobiony), jednem słowem strojącą się „co się zowie“. No — w tem jeszcze nic tak nadzwyczajnego. Stroją się zawsze ludzie w to, co mają najlepszego, gdy im wypada składać lub oddawać znamienitsze jakieś wizyty. Praktykujemy ten zwyczaj w Europie, a nasi Bagandowie lub Bangarowie z Afryki środkowej, zupełnie w ten sam sposób na rzecz się zapatrują. To też odświętne wybieranie się w drogę Mukyali całkiem naturalnem wydawało się naszej dziewczynce, zadziwiało ją tylko, że nie jest przypuszczoną do towarzyszenia swej pani, czyli do dźwigania za nią maty i parasola.

Pod wieczór, Muko muzira siedziała samiuteńka w kuchence, doglądając gotujących się bananów, i dokładała paliwa, które trzeszczało jasnym płomieniem pod kociołkiem, gdy ją doleciały wesołe głosy ludzkie z akompaniamentem znanego szelestu „imbugo“. Rozpoznała natychmiast dźwięk mowy swojej

pani jakoteż krok jej miarowy, to też instynktownie bliżej jeszcze przysunęła się do ogniska. Mukyala stała już w progu izby i badawczem spojrzeniem lustrowała jej wnętrze czy wszystko jest w porządku; za nią postępowały obie jej przyjaciółki. Dziewczynka pokłon im oddając, odpowiadała na miłe słowa podzięki, które składała jej pani, ale jeszcze na nią nie podnosiła oczu. To też nie mało się zdziwiła, gdy nagle ta się odezwała: „Jakto moje dziecko — więc nie widzisz jaka ja dziś szczęśliwa? nie winszujesz mi? Czemu nie przyjdziesz mnie pocałować? Nie kochasz więc już twojej matki?“... Boże... *radość, szczęście, pocałunki!* ileż to słów biednemu maleństwu nieznanych... Zaś *matka!* niestety, od iluż lat spoczywała w gro bie... Prawda, że pani była zawsze dobrą dla dziewczynki, ale niemniej była tylko *panią*, a nie *matką*, to też gdzieżby mała niewolnica była kiedy śmiała skoczyć jej na szyję, ściskać ją i całować tak, jak matkę się całuje, taki zaszczyt nie mógł być jej udziałem. Ponieważ jednak Mukyala zapragnęła tego, jakże tu nie pójść ochoczo za takiem wezwaniem. I wtedy to dopiero spostrzegła dziewczynka na szyi swojej pani uwieszony na białym sznureczku jeden z tych medalików prześlicznie błyszczących z nowości, które niejednokrotnie widywała na piersiach dziewczynek zwanych przez ludzi *Basomi* (modlące się), a z któremi nigdy nie pozwalano jej się łączyć w zabawie. A tu właśnie przedmiot ten, ten medalik, takiem dziwnem szczęściem rozpromieniał Mukyalę. Cóż się też to stało? — A no stała się rzecz bardzo prosta, i oto w kilku słowach jej wytłumaczenie. Jeden z Ojców naszych z misyi Najśw. Panny de la Garde (Bukumi) przybył do wioski sąsiadującej z Kumbą, aby zaspokoić potrzeby duchowne tamtejszych neofitów, i stwierdzić postępy wiary chrześcijańskiej w tej części powierzonego sobie departamentu. Znaczna liczba katechumenów pragnących być zapisanymi i przyjętymi do stacyi misyjnej na czas przygotowania do Chrztu św., pospieszyła na jego spotkanie. Od dawna już Mukyala należała do liczby tych „co się modlą“, przyłączyła się zatem do towarzyszek swoich, pomyślnie złożyła egzamin rozstrzygający o przyjęciu, na znak czego Ojciec misyonarz zawiesił jej u szyi tak zwany cudowny medalik (Niepokalanego Poczęcia Matki Boskiej).

Nasza mała wytrzeszczała szeroko oczy na szczęśliwą katechumenkę w czasie tego opowiadania, a coraz więcej się ośmielając, wyciągnęła rękę ku medalikowi i obracając go na jedną i drugą stronę jęła mu się przyglądać. Ach! gdyby tak śmiała, to byłaby i poprosiła, żeby jej go choć na chwilkę pozwolono na szyję sobie włożyć. Nie pięknażby to była ozdoba na jej gors i szyję, które jej się teraz tak nędznie obnażonemi wydawały! Aniby jej to nawet do głowy było przyszło dawniej, ale teraz, kiedy jej pani było tak pięknie w tym meda-

liku, jakżeby i jej małej niewolnicy nie miało być do twarzy w takiej ozdobie! I też dni następnych, kontrast znamienny zaszedł między panią, a niewolnicą — jak gdyby role między niemi się zamieniły. Mukyala swobodna i wesoła krzątała się wśród zajęć i prac domowych, dziewczynka zaś niepomna na zwykłe figle i zabawy, pogrążała się w zadumie, z oczyma utkwionemi nieruchomie w medalik Najśw. Panny.

IV.

Pierwsza podróż. — Bukumi.

Dnia pewnego Mukyala nie mówiąc dlaczego, przykazała dziewczynce, aby dużo więcej, niż zwykle, nagotowała jadła na kolacyę; Muko Muzira pomyślała, że nic innego tylko przyjdą goście, to też zaciekawiło ją niepomału przy podaniu wieczerzy, gdy jej pani odłożyła na bok część przygotowanego pożywienia, starannie je w liście bananowe zawinęła i napowrót do rynki stojącej na piecu wstawiła. Załatwiwszy to, powróciła na swoje miejsce, i w ciągu wieczerzy w te słowa do dziewczynki się odezwała: „Moje dziecko, nie baw się jutro w leniuszka, gdy cię zrana budzić przyjdę, tylko czemprędzej manatki zbieraj, zjedz coś z tego, co ci na bok odłożyłam, i w drogę. Ponieważ daleko iść mamy, z pierwszem pianiem koguta na nogach być musimy. Słyszałaś?“

Dziewczynka odpowiedziała skinieniem głowy. „A gdzie pójdziemy?“ — nieśmiało odważyła się zapytać.

„Jakto, jeszcze się nie domyślasz? — odpowiedziała Mukyala. — Przecież muszę być w Bukumi; ten Ojciec, co mi dał medalik, zapisał mnie na katechumenkę, i muszę iść o chrzest święty się starać i prosić... Za jakie pół roku z powrotem tu będziemy.“

Co? co?... *Bukumi* — *Ojciec* — *zapisana* — *katechumenka* — *chrzest święty* — i t. d., co tu słów kompletnie dla dziewczynki niezrozumiałych! To też wybałuszała oczka coraz bardziej, jak gdyby jej kto hieroglify pokazywał... Jedno tylko zostało jej w głowie: „Rano jutro masz wstać, manatki zebrać, z pierwszem pianiem koguta pójdziemy w drogę.“ Rozkaz był wyraźny, a tem samem i zrozumiały.

Podróż była najdłuższą ze wszystkich, jakie mała niewolnica z Kumby w życiu swem odbyła, i z tej wycieczki pozostało jej przedewszystkiem wspomnienie szalonego strachu i trwogi, jakich doznała; wśród dnia drżała z obawy przed rabusiami porywającymi dziewczęta, w nocy trzęsła się i dygotała, słysząc ryk tygrysa i wycie hyeny tuż w pobliżu swego posłania, formalnie zamierała z przerażenia. Po czterech dniach takiej wędrówki, ukazała się wreszcie ich oczom stacya misyjna w Bukumi, nie w tym stanie, jak ją dzisiaj widzimy,

ale tak, jak się przedstawiała za starej jeszcze misyjnej budowli rysującej się ostro na horyzoncie w kształcie warowni, która też dzielnie wytrzymała w swoim czasie oblężenie powstańczego szczepu. Wysokie mury, podziurawione strzelnicami z bastyonami na czterech rogach, nie miały nic pociągającego dla oczu małej cudzoziemki.

Gdy przybyły wreszcie z panią do celu podróży i na wskazany im nocleg, dziewczynka złożyła w jakimś kącie podróżne pakunki, i zajęła się urządzeniem posłania dla Mukyali, jako też innemi posługami w zwyczaju w tym kraju będącemi po dłuższej podróży. Wkońcu pomyślała o sobie, to jest usnęła na zabój, i w tym śnie młodocianym i pokrzepiającym odzyskała siły podróżą stargane.

Co przyniosły dni następne zabłąkanej w ten nowy świat dziewczynce? Nie bardzo nam się umiała z tem wygadać, choć przyznawała się z pewnem zakłopotaniem, że ludzie zamieszkujący tę nową siedzibę, bardzo jej się wówczas zabawnymi wydawali, bo mówili między sobą jakimś językiem całkiem odmiennym, niż ten, do którego była przyzwyczajona, potem ani odrobiny wody, ani krzynki jedzenia nie brali do ust bez żegnania się krzyżem św., a choć obeznana już była z czynieniem tego znaku, jeszcze i wówczas nie pojmowała jego znaczenia. Co do innych dziewczynek, z któremi tak chętnie byłaby tam chciała przestawać, te ją nigdy inaczej nie nazywały jak „mukafiri“ (poganka), i to z taką miną i znaczącym grymasem, że nie chciała się im towarzystwem swojem narzucać.

Ach, jakże chętnie powróciłaby do Vocemby! Lecz Vocemba tak daleko! a na samo wspomnienie ryku dzikich zwierząt, które ją po nocach straszyły, odchodzi ją wszelka chęć ucieczki.

(C. d. n.).

ODPUST ZUPEŁNY,

których w sierpniu dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicyi św. Piotra Klawera:

dnia *24 sierpnia* w uroczystość św. Bartłomieja Apostoła.

Warunek: Godne przyjęcie św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, nawiedzenie kościoła, modlitwa o rozkrzewienie wiary i na intencyę Ojca św.

Zamknięcie redakcyi 15 lipca 1909.

Wydawca: Sodalicya św. Piotra Klawera.
Redaktor odpowiedzialny: *Zofia Popielówna.*

W Krakowie. — Czcionkami drukarni „Czasu.“